

Wydobyci z mroków niepamięci

Urodziłam się w okolicach Zamościa 16 lat temu, kilkadziesiąt lat po wybuchu II Wojny Światowej. Od zawsze interesowała mnie historia tego okresu, lecz dopiero temat konkursu „Historia mojej małej Ojczyzny - Wspomnienie o żołnierzach SZP-ZWZ-AK Inspektoratu Zamość oraz ich powojenne losy” zmobilizował mnie do poważniejszego zainteresowania się tym tematem. Dlatego też wykorzystałam tutaj relację mojego wuja, który na początku nie był związany z Zamojszczyzną, ponieważ urodził się zupełnie w innym miejscu (o tym dowiemy się w dalszej części relacji) i cioci z czasów II Wojny Światowej, którą przekazali całej rodzinie. Są to prawdziwe historie, które były widziane ich oczyma i osobiście przeżyte. Niestety oboje już zmarli kilka lat temu i dlatego postanowiłam opisać to, co zostało w pamięci innych z ich opowieści. Jeżeli kogoś zainteresują moje zapiski, to zapraszam do przeczytania. Dzięki tej relacji zrozumiałam jak ważny był to okres w naszych dziejach.

II Wojna Światowa

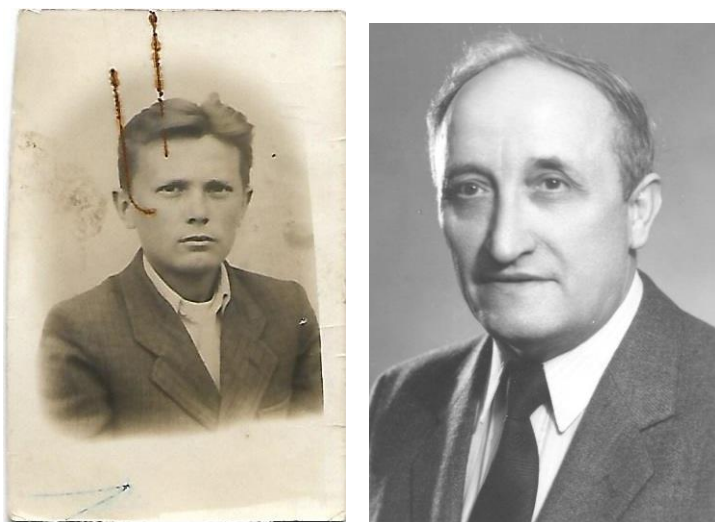
II Wojna Światowa i jej historia pozostawiła wielkie, często do dzisiaj niezaleczone rany. Nie możemy i nie chcemy zapominać o czasach i o ludziach, którzy za naszą ziemię oddali swoje zdrowie i mienie, a wielu najcenniejsze – własne życie. Pamięć o nich jest ciągle żywa w naszym środowisku. Znajomość historii, pamięć o ludziach, którzy żyli przed nami to przecież fundament każdego społeczeństwa, narodu i państwa. Kolejny raz odżywają wspomnienia. Mimo że od tragedii minęło tyle lat, to dla wielu spośród nas żal i ból nie przemija. Nie ma słów, którymi można oddać rozmiar tej tragedii. „Panie i Panowie, którzy przeżyliście tragedię II wojny światowej, przyjmijcie wyrazy najwyższego szacunku za Wasz trud również w czasie pokoju. Za zaangażowanie w działalność społeczną, za wsparcie, jakiego udzielacie młodszym. Cenione są Wasze wysiłki w dokumentowaniu historii bardzo ciężkiej i bolesnej zresztą.” To jest fragment cytatu Konstantego P. podczas jednej z uroczystości patriotycznej w Uchaniach.

Analizując wspomnienia mojego wujostwa, mogę stwierdzić, iż spotkał ich los podobny do losu wielu innych młodych ludzi, a nawet niekiedy gorszy, ponieważ kilkakrotnie zaglądali śmierci w oczy.

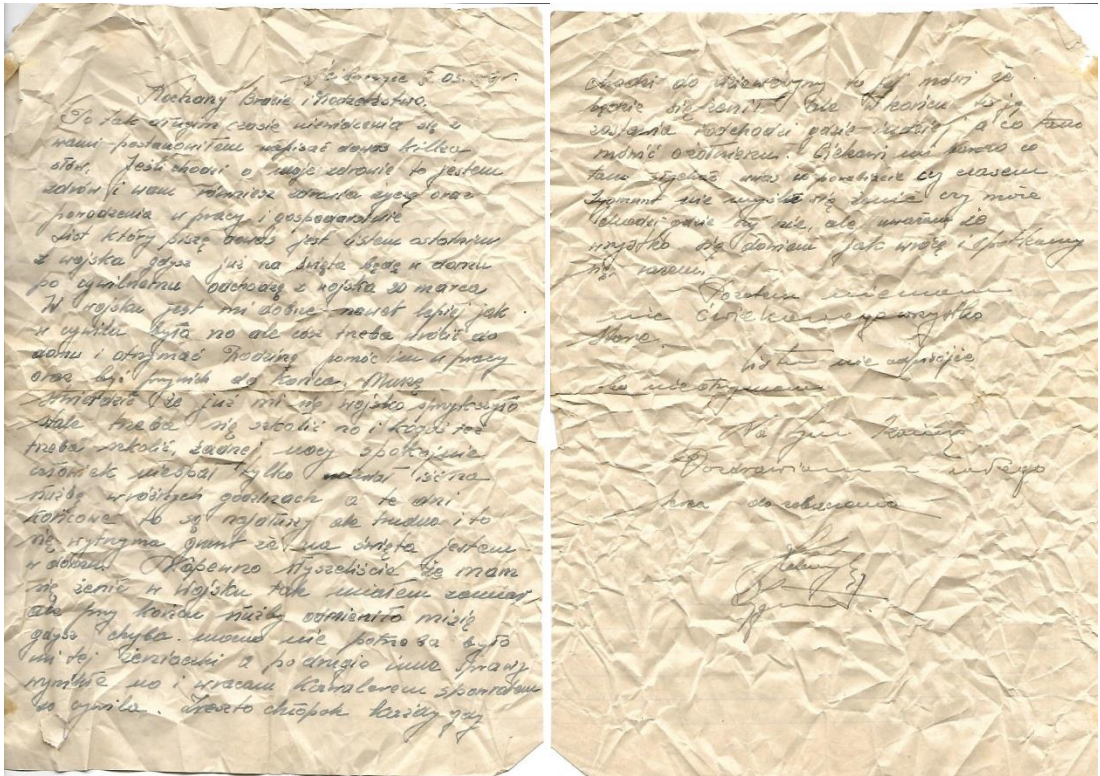
Jak mawiał mój wujek: „Trzeba wybaczyć, by można było żyć tak, żeby koszmar wojny już nigdy się nie powtórzył.” Moja relacja niech będzie hołdem złożonym ludziom, których los doświadczył tragizmem II Wojny Światowej. Warto zatem pamiętać, że przez wieki „żelazna siła militarna” nie była w stanie zgasić ducha polskości. Nadzieję moją, jak

zawsze powtarzał mój wuj, jest, aby przechowane przez straszny trud wojny narodowe wartości nie zostały roztrwonione i zapomniane. Mam nadzieję, że młodym ludziom wystarczy wiary, siły i niezłomnej woli, aby wykonać testament pokolenia wojny. Pokolenia, które zostawią bardziej mocny fundament, twardy jak skała. Według mnie to dobrze, że my jako młode pokolenie pragniemy poznawać i pamiętać o tym, co dla naszych dziadków i pradziadków było ważniejsze od własnego losu. „Bohaterowie są wśród nas”, a dla mnie takimi bohaterami są: mój wuj Konstanty Prożogo i jego żona Jadwiga Wiech - najstarsza siostra mojej babci.

Jak żył?



Konstanty Prożogo pseudonim „Kostek” urodził się 21 listopada 1922 roku w kolonii Kulik (woj. nowogrodzkie, pow. baranowicki). Matka Jadwiga z domu Niedźwiecka, ojciec Witold – oboje rodzice prowadzili nieduże gospodarstwo rolne w kolonii Kulik. W 1937 roku Konstanty ukończył 7-klasową Szkołę Powszechną w Pogorzalcach i od 1 września podjął naukę w Średniej Szkole Budowlano-Drogowej w Baranowiczach. Uczęszczał do niej do grudnia 1939 roku, to jest do chwili jej likwidacji przez władze sowieckie. Na początku 1940 roku został zatrudniony jako kreślarz w miejskim przedsiębiorstwie gospodarki komunalnej w Baranowiczach, a następnie przeniesiony do Szczliczyna Nowogrodzkiego.



List napisany własnoręcznie przez Konstantego P. z pobytu w wojsku

Po napaści Niemców na ZSRR powrócił do domu i pracował w gospodarstwie rodziców. Na początku 1943 r. został zaprzysiężony do szeregów Armii Krajowej w placówce Niedźwiedzica i otrzymał funkcję zwiadowcy. W działalności konspiracyjnej trudnił się m. in. kolportażem prasy podziemnej, uczestniczył w akcjach dywersyjnych, zdobywał amunicję i broń. Duże uznanie zdobył za śmiałe, ryzykowne przewiezienie na rowerze z Niedźwiedzic do Baranowicz połowej radiostacji do naprawy. Został awansowany przez Komendę Okręgu AK do stopnia starszego strzelca. Po wkroczeniu na kresy Armii Czerwonej skoncentrowane w ramach akcji „Burza” w miejscowości Nowa Mysz oddziały AK zostały rozbrojone i rozpędzone. Oczywiście Konstanty P. uczestniczył w tejże akcji.

Akcja „Burza” – udział „Kostka”

Wiosną 1944r. sytuacja na froncie wschodnim II Wojny Światowej wskazywała, że Niemcy przegrają wojnę. Kwestią czasu był moment, kiedy to Armia Czerwona ruszy do kolejnej ofensywy i wypchnie przeciwnika z okupowanego terytorium. Polakom nasuwało się pytanie, jaki stosunek należy przyjąć do Armii Czerwonej. Wobec tego sztabowcy Armii Krajowej po licznych dyskusjach stwierdzili, że należy pomagać Armii Czerwonej w walce o wyzwolenie polskich terenów. Wskazane było też, aby oddziały AK pełniły rolę gospodarzy wobec wkraczających Sowieców. I tak powstał plan akcji „Burza”, w której jak już wyżej wspomniałam, mój kuzyn brał czynny udział w wieku 22 lat. Oddziały AK miały atakować

Niemców tuż za linią frontu, ujawniać się jednostkom Armii Czerwonej i wskazywać im cele jak i pomagać zbrojnie. Początkowo wszystko wydawało się iść po myśli AK. Odziały Sowieckie chętnie przyjmowały oferowaną pomoc. „Kostek” pomagał m. in. w walce o Wilno i Lwów. Jednak wkrótce okazało się, że rzeczywistość nie była taka różowa. W istocie, kiedy tylko front przechodził dalej, radzieckie jednostki przystępowały do rozbijania Armii Krajowej. Traktowano ich różnie - jednych po rozbrojeniu wysyłano do domu i takie szczęście miał mój wuj, a inni byli aresztowani i wywożeni do ZSRR. Tak naprawdę akcja „Burza” stanowiła mocny cios dla AK. Okazało się bowiem, że wkraczające odziały „wyzwoliciele” traktowały AK jako kolejnego wroga, w najlepszym przypadku przeszkodę, jaką należy usunąć w celu wprowadzenia w Polsce nowego ustroju. Jak wspominał Konstanty twierdzono, że AK jest słaba i niezdolna do jakichkolwiek działań wojskowych oraz że nie ma wpływu na społeczeństwo. Jediną siłą polityczną, z którą Polacy wiązali nadzieje na odrodzenie niepodległego państwa polskiego, miała być polska lewica i komuniści. Wiadomości te były rozpowszechniane także z kraju za pomocą podległej ZSRR organizacji propagandowej, która przygotowywała się do tego jeszcze przed akcją. Porażkę tej akcji odczuła także ludność cywilna zwłaszcza na dawnych ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej. Miały miejsce liczne pacyfikacje polskich wsi i miasteczek, deportacja Polaków w głąb Rosji oraz grabież polskich dóbr kultury.

Dalsze losy mojego wuja

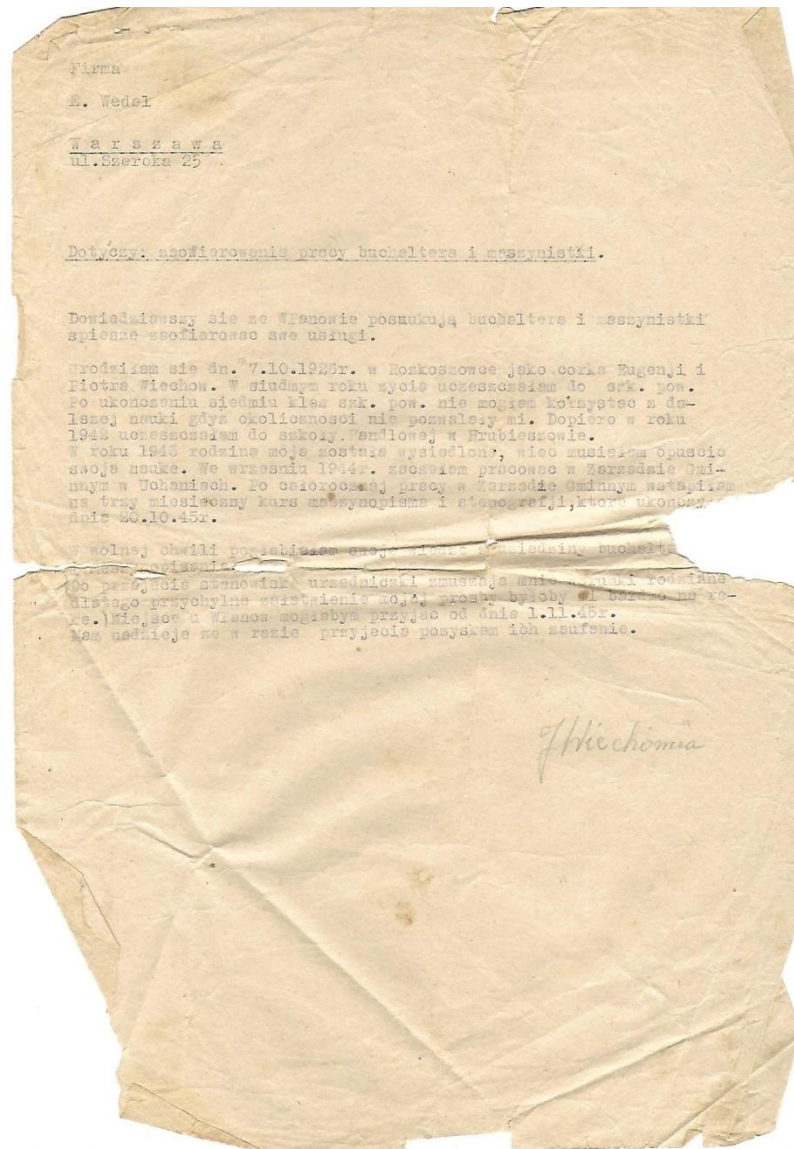
Konstanty P. powrócił do domu i wkrótce potem został wraz z innymi zmobilizowany. Poborowych zgromadzonych w Baranowiczach odtransportowano pociągiem towarowym w okolice Moskwy do polowego obozu 96 Pułku Piechoty Armii Czerwonej w miejscowości Ałłabino. Kiedy dowództwo podjęło działania zmierzające do ostatecznego wcielenia wszystkich w szeregi wojska sowieckiego, wówczas grupa Polaków z tego transportu zdecydowanie odmówiła złożenia przysięgi i włożenia obcych mundurów. Zgrupowano ich więc w dwóch kompaniach i skierowano do robót porządkowych, a później odprawiono do kraju. K. Prożogo wraz z kolegami znalazł się 1 października 1944r. w szeregach 3 Pułku Piechoty Wojska Polskiego stacjonującego w Siedlcach na Podlasiu, skąd został odkomenderowany do Lublina do 2 Oficerskiej Szkoły Piechoty, którą ukończył w stopniu podporucznika. Po promocji wszystkich wysłano do jednostek frontowych. Mój wujek został zatrzymany na stałe w szkole jako instruktor-dowódca plutonu podchorążych. Szkołę tę niedługo po tym przeniesiono na Pomorze Zachodnie do Gryfic i tam po ukończeniu

ostatniego turnusu rozformowano, a kadre oficerską rozesłano do różnych jednostek. W wyniku tego „Kostek” został wysłany do Lublina, a potem do Chełma.

„Jadzinka”



Tam był oficerem w wojsku, a dodatkowo działał w AK, gdzie poznał moją ciocię a swoją przyszłą żonę Jadwigę Wiech pseudonim „Jadzinka” urodzoną 7.10.1926r. w Rozkoszówce jako córka Eugenii i Piotra Wiechów. W siódmym roku uczęszczała do Szkoły Powszechnej. Po ukończeniu siedmiu klas szkoły powszechnej nie mogła już korzystać z dalszej nauki, gdyż okoliczności na to nie pozwalały. Dopiero w roku 1942 uczęszczała do Szkoły Handlowej w Hrubieszowie. W roku 1943 jej rodzina została wysiedlona, więc musiała przerwać swoją naukę. We wrześniu 1944 roku zaczęła pracować w Zarządzie Gminnym w Uchaniach. Po całorocznej pracy w Gminie rozpoczęła trzymiesięczny kurs maszynopisania i stenografii, który ukończyła dnia 20.10.1945 roku. Oprócz niej w domu była jeszcze trójka młodszego rodzeństwa.



Podanie o pracę maszynistki i buchaltera napisane na maszynie przez Jadwigę W.

Armia Krajowa - partyzantka

W międzyczasie Jadwiga działała w AK, która powstała w 1942 roku. Armia Krajowa przez większą część okresu II Wojny Światowej ponosiła ciężar działań polskiego podziemia. Żołnierze AK walczyli przeciw bezlitosnemu okupantowi, stosowali metody typowej walki partyzanckiej i uderzali tam, gdzie wróg nie spodziewał się uderzenia. Swoją odwagą, bohaterstwem i męstwem starali się, aby Niemcy nie mogli na dobre zapanować nad pobitą we wrześniu 1939 roku ludnością Polski. Żołnierze AK to ludzie honoru, którym Bóg wyznaczył czas próby w momencie tragicznych zawirowań historii. Wezwał ich na służbę trudną, wymagającą hartu ducha i poświęcenia tego co najważniejsze – życia. Choć mówi się o nich żołnierze wyklęci, to bardziej odpowiednie byłoby powiedzenie „żołnierze niezłomni”, gdyż byli wierni do końca, walcząc o suwerenność Polski z komunistycznym reżimem.

Czasami zadaję sobie pytanie: Ile było kobiet w AK w całej Polsce? Na to pytanie nie odpowie już chyba nikt. Ile ich było w partyzanckim zgrupowaniu? W spisie żołnierzy i współpracowników oddziałów AK wśród 997 osób jest 60 kobiet. Są tam łączniczki, sanitariuszki oraz kobiety, które formalnie nie były członkami oddziału, lecz z narażeniem życia i zdrowia - własnego i rodzin - w istotny sposób wspierały Niezlomnych Żołnierzy. Wydawać by się mogło, że role przypisane kobietom w oddziałach partyzanckich i powstańczych nie są tak niebezpieczne i nie wymagające aż takiego ryzyka i poświęcenia, jakimi musi wykazać się żołnierz walczący na pierwszej linii z bronią w ręku. Czy rzeczywiście? Towarzyszenie w ostatnich chwilach umierającym chłopcom połączone z zupełną bezsilnością wobec tej sytuacji, odpowiedzialność za rannych i chorych w skrajnie złych warunkach - brudzie, zimnie, przy braku podstawowych środków, samotne krążenie między oddziałami i ciągłe narażanie się na ujęcie przez wroga - tego wymagała ich rola. Składały w ofierze wszystko to, co najcenniejsze: życie, zdrowie, bezpieczeństwo najbliższych, czasem miłość. Zdecydowana większość młodych działaczy AK przygotowywała się do matury albo uczęszczała na tajne uczelnie. Zająć więc miał nasz młody człowiek nadmiar. Jednak nie znaczy to, że nie poświęcał czasu na rozrywkę. Możliwości były wprawdzie niewielkie, ale organizowano spotkania towarzyskie. Jednak trzeba podkreślić, że chyba każdy z tych młodych ludzi był nękany przez strach, który okresowo go nachodził. Strach nie przed śmiercią w czasie zadań zbrojnych, które często przeprowadzano, ale przed dostaniem się w ręce Niemców. Wszyscy wiedzieli, że w każdej chwili mogą znaleźć się w celi, z której będzie wyjście tylko na miejsce stracenia. Strach ogarniał ich też na myśl, że wpadną w ręce gestapo z dowodami działalności antyniemieckiej i poddani zostaną okrutnemu śledztwu, by ujawnili szczegóły zgubne dla ich kolegów będących jeszcze na wolności. Było też oczywiste że zostaną w takim wypadku zabici. Może ktoś z nas współczesnych ludzi stawia sobie pytanie, dlaczego ci młodzi ludzie sprzed ponad kilkudziesięciu lat podejmowali takie ryzyko, choć wcale nie musieli tego robić? Odpowiedź jest dość prosta:

- mieli rodziców, którzy jeżeli nawet nie zachęcali ich do tej działalności, to przez lata wpajali im szacunek i miłość do Ojczyzny,
- mieli nauczycieli, którzy byli prawdziwymi pedagogami i patriotami,
- codziennie widzieli jakie zamiary w stosunku do Polaków ma okupant,
- wśród ich kolegów i przyjaciół panowało przekonanie, że trzeba stawiać opór tym działaniom i zamiarom barbarzyńskiego okupanta,

- wiedzieli, że bezczynność nie da im bezpieczeństwa, gdyż okupant stosował powszechnie znana taktykę.

Oczywiście nie znaczy to, że wszyscy ludzie szli śladem żołnierzy AK, co niektórzy się ukrywali w piwnicach i grali w karty. Decydującym powodem działań Komendy Głównej AK był rosnący z roku na rok terror okupanta i rosnące przekonanie o jego ludobójczych zamiarach. Wszyscy ci młodzi ludzie byli ochotnikami w wieku od 17 do dwudziestu kilku lat i nie pobierali żołdu. Po zakończeniu każdej akcji, zdaniu broni i wymianie fałszywych dokumentów na prawdziwe stawali się normalnymi mieszkańcami. Żołnierze AK spełniali chlubnie swoje zadanie, wyrażając niezłomną wolę Narodu prowadzenia nieubłaganej walki przeciwko najeźdźcy niemieckiemu. Byli zbrojnym ramieniem Polskiego Państwa Podziemnego i krajowych władz Rzeczypospolitej. W najcięższych warunkach z nadludzkim samozaparciem olbrzymimi ofiarami, prowadzili nierówny bohaterski bój, składając wobec historii i świata świadectwo prawa Narodu Polskiego do wolności oraz dając dowody naszej bezwzględnej wierności. Członkowie AK, którzy przeżyli, a wraz z nimi bohaterowie mojej relacji w miarę sił i możliwości wypełniali ostatni rozkaz dowódcy AK. „Byli wierni tylko Polsce”. Nie liczyli na chwałę i rozgłos. Byli skromni i wierni hasłom ze sztandaru Armii Krajowej „Bóg, Honor, Ojczyzna”. Nie pozwólmy, aby Ci ludzie, którzy tak wiele zrobili dla Polski, jeszcze raz odeszli w niepamięć tak, jak to się stało za czasów PRL. Na zawsze zachowajmy ich w naszych wdzięcznych sercach i pamięci.

Liczne wysiedlenia Rozkoszówki i okolicznych wiosek

Bardzo bogate informacje przekazała moja ciocia rodzinie o walkach partyzantów, bo dosyć dużo tam działała. Jak twierdziła ciężkie czasy do przeżycia mieli mieszkańcy Rozkoszówki w latach II Wojny Światowej. Terror hitlerowski, a szczególnie wysiedlenie z rodzinnych domów w dniu 13 stycznia 1943 roku i wywózka na roboty do III Rzeszy, do obozów koncentracyjnych lub ucieczka do innych miejscowości przynosiły mieszkańcom tej wsi ogrom upokorzenia, cierpienia i bólu. Pamiętała do końca ten mglisty poranek. Niemcy zaczęli wpadać na podwórka, otwierać drzwi domów, wykrzykując: „Wychodź wy polskie świnię – „sznel!”. Na koniec podpalali zabudowania, żeby ludność nie miała dokąd wrócić.



Mieszkańcy Rozkoszówki przed wysiedleniem przed budynkiem szkoły



Płonąca Rozkoszówka podczas wysiedlenia



Mieszkańcy Uchań uciekający z płonącej wsi

Ludzie i dzieci powychodzili z zaparowanych domów, trzęsąc się z zimna, bo na dworze było dosyć chłodno. Ktoś krzyknął z oddali: „Chyba będą strzelać!”, bo prowadzono ich w stronę lasu. Ktoś inny powiedział, że stoją furmanki i gdzieś ich wywiozą. W niewielkiej odległości za budynkami stało wiele jednokonnnych furmanek. Furmanom kazano podjeżdżać kolejno, a na każdą ładowano wszystkich kogo popadło, ile się zmieściło. Ludzie, nie znając swojego losu, oczekiwali po kilka godzin w mroźnej pogodzie na dalszy transport do obozów przejściowych. Za drutami następował kolejny etap gehenny, segregacja, podział na grupy: przydatnych do pracy oraz skazanych na śmierć w obozach koncentracyjnych. Tragiczny los spotkał dzieci do lat 14, które zostały brutalnie zabrane rodzicom i wysłane transportem kolejowym do Warszawy do tzw. „wsi rentowych” w celu zgermanizowania. Niekiedy przed wysiedleniami ostrzegali miejscowych żołnierze Armii Krajowej. Ludzie opuszczali domy, zanim w ich wioskach zjawiły się niemieckie oddziały żołnierzy.

Mieszkańcy ci znaleźli schronienie i opiekę w sąsiednim powiecie albo w lesie, trafiając do AK. Hitlerowcom nie udało się stworzyć okręgu niemieckiego głównie dzięki oddziałom AK, które nękały Niemców akcjami odwetowymi, prowadząc z nimi otwartą walkę. Jak twierdziła „Jadzinka” partyzanci walczyli zbrojnie przy pomocy ludności i walka ich była skierowana przeciwko zaborcy - okupantowi. Działania ich to były szybkie ataki, nękające przeprowadzane z ukrycia w lesie z przygotowaniem zasadzek. Według relacji cioci Jadwigi partyzanci byli dosyć słabo uzbrojeni (ale nie zawsze), a ich stroje bardzo się wyróżniały. Umundurowanie nie było jednolite, powszechna była jedynie rogatywka lub furazerka z orzełkiem. Reszta munduru zależała od okoliczności, były to mundury polskie, przerobione niemieckie ubrania cywilne lub częściowo mundur, a częściowo ubranie cywilne. Uzbrojenie składało się z broni pozostałej z kampanii wrześniowej 1939r., z broni zdobytej od Niemców lub od nich kupionej i ze zrzutów oraz zdobytych magazynów i transportów. W okręgach wschodnich, skąd pochodziła moja ciocia, używano broni sowieckiej. Były to karabiny, rewolwery i ręczne granaty. Najbardziej rzadką i poszukiwaną bronią były karabiny maszynowe i pistolety maszynowe. Zaopatrzenie w żywność zapewniała im miejscowa ludność. Akcje różnego typu urządzane były bardzo często np. odbijanie ludności lub akcje w celu uzupełnienia broni i zapasów. Oddziały partyzanckie zakładał żołnierz ochotnik - nie zawsze dowodził oficer, lecz ten, kto miał talent przywódczy. Oddziały otrzymywały nazwy i numeracje pułków piechoty i kawalerii. Takie oddziały nazywano wg. pseudonimu Dowódcy np. w tym wypadku oddział nosił nazwę „Kostek”, bo też on go założył i tam właśnie poznał moją ciocię Jadwigę. Oddziały partyzantów były piesze, ale nie brakowało konnych łączników do rozpoznawania terenu. Służbę w łączności pełniły zazwyczaj kobiety. Stan liczebny wahał się od 30 do 100 żołnierzy.

Działalność Jadwigi w oddziałach AK

W partyzantce nie było lekarza, zastępowały go sanitariuszki, które były wykwalifikowane w różnym stopniu.



Jadwiga Wiech pracowała jako sanitariuszka w zakonspirowanych szpitalikach, które znajdowały się w majątkach ziemskich lub leśnych ziemiankach. W jej relacji z tamtych czasów dominuje nieustanny lęk o rodzinę prześladowaną i nękaną. Jako sanitariuszka niejednokrotnie widziała śmierć swoich kolegów podczas walki, ale wg. niej straszniejszą rzeczą było oglądać partyzantów w szpitalnym łóżku. Głęboko zapadła w jej pamięć historia Maćka - młodego żołnierza chorego na tyfus i gruźlicę. Mimo dużego ryzyka zarażenia się „Jadzinka” do końca czuwała przy jego łóżku. Nie mogła sobie jednak darować, że tej nocy zmarł, dała się przekonać i odeszła od niego, by się chociaż trochę zdrzemnąć. Maciek tuż przed śmiercią odzyskał przytomność i wołał właśnie ją. Chociaż jej główną funkcją było niesienie medycznej pomocy, to zdarzało się jej również walczyć z chłopcami z oddziału. Na co dzień, jak wspominała, nosiła przy boku małą splawkę. Gdy w pogoni za uciekającymi „wrogami” natknęła się na rannego ubeka, pośpieszyła mu z pomocą, a kiedy jeden z partyzantów chciał zastrzelić funkcjonariusza, stanęła w jego obronie, mówiąc; „on jest ranny i ma prawo żyć”. Nawet w takich chwilach nie zapominała o tym, że przede wszystkim jest sanitariuszką. A ten, któremu uratowała życie w czasie późniejszego śledztwa, gdy była w więzieniu, zeznał, że to właśnie ona chciała go dobić. Poza tym ze swoją matką i młodszą siostrą przewoziła broń, amunicję, lekarstwa i rozkazy. W jej domu w Rozkoszówce przechowywani byli ranni żołnierze AK. Jadwiga W. działała również jako łączniczka między oddziałami, wyszukiwała kwatery dla rannych i ukrywających się tzw. „melin” do przechowywania broni i amunicji oraz punktów sanitarnych. Starła się jak najlepiej wypełniać te obowiązki, jednak jak sama przyznała, uważała je za typowo kobiece, a jej

ambicją była „męska walka z wrogiem z bronią w ręku”. „Jadzinka” brała również udział w akcjach wysiedleńczych przy odbijaniu i ukrywaniu ludzi. Ten zbrodniczy plan obejmował eksterminację i germanizację Polaków jak zawsze mawiała ciocia. Plany wyniszczenia narodu polskiego opierały się na ideologii, która zakładała, że tylko jeden naród ma prawo do godnego życia. Z zeznań moich rozmówców wiem, że akcje wysiedleńczo-osadnicze były w Rozkoszówce i w Uchaniach - na Zamojszczyźnie. Niemcy działali wg. jednego schematu. W nocy lub nad ranem oddziały wojska i policji SS otaczały wieś kordonem a następnie wpadano do domów, wyrywano ludność ze snu i wypędzano z mieszkań. Pozwalano zabrać ze sobą jedynie podręczny bagaż, ale najczęściej i to było niemożliwe ze względu na szybkie tempo akcji wysiedleńczej. Pod groźbą rozstrzelania zmuszano ludzi do opuszczania domostw. Na miejscu mordowano ludzi kalekich, chorych i starców. Strzelano również do osób stawiających opór i próbujących ucieczki. Zgromadzonych na polu trzymano nawet kilkanaście godzin bez jedzenia i picia. Zebranych dzielono na dwie grupy: przeznaczonych do wywozu i tych, którzy mieli pracować u Niemców. Przeznaczonych do wywozu ładowano na samochody i pod silną eskortą w obawie przed partyzantami, jak relacjonowała „Jadzinka” wieziono do obozu przejściowego w Zamościu i Zwierzyńcu. Zdarzało się również, że pędzono ludność pieszo albo transportowano furmankami z sąsiednich jeszcze nie wysiedlonych wsi. Mimo to partyzanci, a na czele z nimi „Jadzinka” i „Kostek” organizowali zasadzki i odbijali ludzi, a w szczególności dzieci, bo i wśród nich znalazło się także rodzeństwo mojej cioci. Jednak w wyniku mocnej akcji udało się ich odbić z transportu, a tym samym uratować przed obozem koncentracyjnym. Tragizm tych dzieci był nie do opisanego. Oddzielone od rodziców przechodziły w obozie, jeżeli tam trafiły „masową selekcję”, a następnie umieszczane w najgorszych tzw. końskich barakach, masowo umierały wskutek głodu, zimna, chorób i ciężkich warunków sanitarnych w oczekiwaniu na transporty. Dzieci przeżywały szczególną gehennę, ładowane do bydłych wagonów były skazane na pewną śmierć. W ostatniej chwili Jadwiga z oddziałem „Kostka” odbili jej rodzeństwo i wiele innych dzieci z tej wsi, które żyją do dziś, natomiast los wielu tysięcy dzieci pozostaje nieznany. Jest prawdopodobne, że pewna liczba osób żyje do tej pory, poza krajem w nieświadomości swego polskiego pochodzenia. Wracając do AK, to mój wuj trzymał dyscyplinę, za rzadkie wpadki bandytyzmu lub dezercji karano śmiercią przez rozstrzelanie. Działalność sowieckiej partyzantki na terenach wschodnich pokazywała wrogie nastawienie do polskich partyzantów. „Chcemy pełnej likwidacji zbrojnych polskich grup bandyckich - jak mówili - oczyścimy wszystkie nasze rejony z tego paskudnego śmiecia.”

Akcja pod dowództwem „Kostka”

Konstantemu P. najbardziej w pamięci zapadła akcja, kiedy to zaatakowali kolumnę łącznikową niemieckiej armii. Zdobyli wówczas ważne szyfry i mapy położenia niemieckich jednostek frontu. Nie mieli pojęcia, że będzie to tak ważna sprawa. Starannie przygotowywali się do tej akcji, przygotowując kolejne fazy.



Partyzanci w oczekiwaniu na sygnał



Zwiady przed akcją

Wykorzystali też naturalne ukształtowanie terenu, takie skrzyżowanie dróg pod dużym kątem między Rozkoszówką a Uchaniem oraz wzniesienie nad tym skrzyżowaniem, na którym niedawno wycięto drzewa. Ustawione tam karabiny maszynowe strzelały do Niemców jak na strzelnicy. Dużą rolę odegrał też element zaskoczenia, chyba najważniejszy z punktu widzenia partyzanckiej taktyki. Dzięki dobremu przygotowaniu i zaskoczeniu wroga akcja odbyła się bez strat wśród partyzantów. „Cała akcja była wielkim ryzykiem - powtarzał Konstanty - mieliśmy dużo szczęścia, ponieważ kilometr od miejsca jej przeprowadzenia stacjonowały mocne oddziały niemieckie.” To była dobrze zaplanowana akcja dzięki szaleńczej odwadze i talentowi dowódcy „Kostka”. Te szalone czasy wojenne, okres wysiedleńczy, ukrywanie się zapadły głęboko w sercach mojego wujostwa. Dzisiaj są składane różne symbole, ofiary rozłąki, bólu i śmierci wielu niewinnych rodaków i małych istot ludzkich, jak wspominała Jadwiga kilka lat temu, jeszcze przed śmiercią na jednej z uroczystości wysiedleńczych w Uchaniach. „Nasuwa się pytanie - mówiła w przemówieniu - dlaczego te osoby w tym dzieci przeszły gehennę, swoją drogę krzyżową. Powinni być przykładem dla nas i dla młodego pokolenia powojennego. Czujmy się wykonawcami niespisanego testamentu ofiar wysiedlenia, pacyfikacji i represji niemieckiej. Testamentu, który nakazuje nam okazywać szacunek innym, żyć dla nich, wspólnie pracować

dla dobra naszej Ojczyzny i wychowywać w tym duchu młode pokolenie. Radujmy się - nawoływała, że możemy ten testament w pełni wykonać i przekazać go naszym dzieciom - jak i ja z mężem to zrobiłam.” Zachęcała też do organizowania jak największej liczby uroczystości, podczas których będą prezentowane piosenki i wiersze patriotyczne powstałe w niewiarygodnych warunkach, bowiem w samym epicentrum zła, przemocy, nienawiści i terroru – w obozach koncentracyjnych, łagrach i więzieniach. Utwory te tworzyli ludzie bezsilni i bezbronni, wobec podwójnych rzędów drutów kolczastych i luf karabinów maszynowych. Ludzie, którym brutalnie usiłowano wydrzeć ich dotychczasowe przekonania, których odbierano z resztek człowieczeństwa i tęsknoty do wszystkiego co piękne i szlachetne.

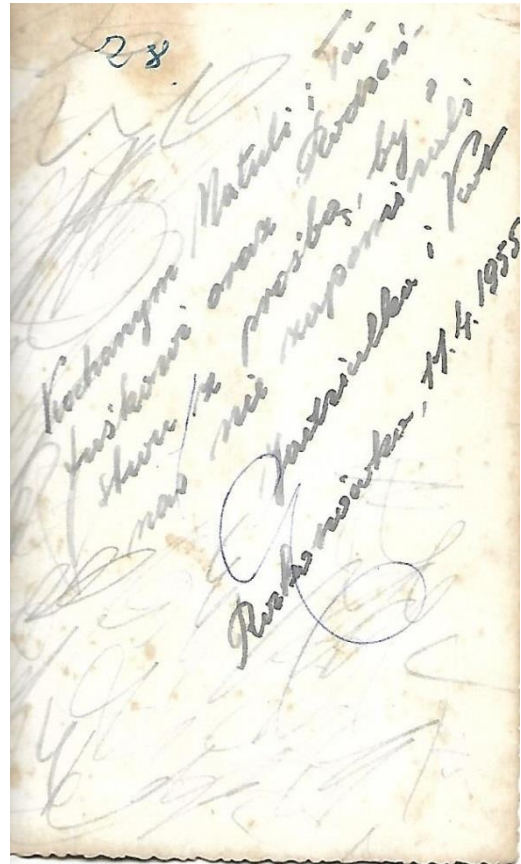
Ciężkie, więzienne czasy nastaly... - Wronki i Fordon

Bohaterowie mojej relacji również znaleźli się w takich więziennych warunkach. Z całego serca dziękowali za to, że słusznie domagamy się prawdy i rzetelnej oceny bolesnych wydarzeń historycznych, które wymagają wyjaśnień tego piekła, przez które przeszli nasi rodacy. Jak wyżej wspomniałam na skutek zadenuncjowania i przez szerzoną wówczas propagandę oraz zdrajców, a konkretnie chodzi o najbliższą koleżankę Jadwigi, z którą razem działały w oddziale AK. Według wszystkich owa koleżanka doniosła na moje wujostwo w wyniku zazdrości o Konstantego - wujka, jako że on z Jadwigą byli już wtedy narzeczeństwem. Dnia 6 czerwca 1947 roku zostali aresztowani i odtransportowani do Komendy Głównej Informacji Wojskowej w Warszawie. Po sześciomiesięcznym śledztwie Sąd Wojskowy Okręgu Warszawa skazał Konstantego Prożogo na 15 lat więzienia i 5 lat utraty praw. Konstantego przewieziono do więzienia we Wronkach. Tam przebywał 7 lat i 7 miesięcy. We Wronkach dominowali więźniowie polityczni. Byli wśród nich więźniowie, którzy czynnie i zbrojnie występowali przeciwko władzy komunistycznej oraz tacy, którzy stali się nimi na skutek prowokacji, domniemania i takim więźniem był właśnie Prożogo. Tak były to szczególnie ciężkie warunki, ogromne przepełnienie i zaduch w celach, ziąb i złe wyżywienie. Okropne warunki sanitarne, całkowita beczynność, brak gazet i książek, krótkie spacerunki i rygor z różnego rodzaju represjami to była codzienność więziennego życia. „Osadzeni w karcerach byli skrępowani, leżeli godzinami z kłódką w rękach, kopani i bici pałkami”. Innym wlewano do karceru dużą ilość wody i bito ich mokrymi sznurkami, tak że potem leżeli w wodzie, by „otrzeźwieć”. Tak wspominał często ten czas ze łzami w oczach i w przerwach opowiadania mój wuj, czego się dowiedziałam od jego syna. Ciężkie warunki

odbywania kary spowodowały wysoką zachorowalność wśród więźniów na choroby somatyczne jak i psychiczne. Te ostatnie doprowadzały wielu do samobójstw. Ponadto Konstanty P. przetrzymywany był przez sześć miesięcy w pojedynczej celi, w żargonie więziennym zwanej „szambo”, tylko za to, że stanął w obronie współwięźnia. Więźniów bito też drewnianym młotkiem oraz kopano po całym ciele, doprowadzając do utraty przytomności, potem do karczeru. Natomiast tzw. „ścieżka zdrowia” następowała w odprowadzaniu na oddziały. Wtedy ustawieni w szpaler strażnicy bili i kopali więźniów czym popadło, kluczami i pałkami. Ogłupiano więźniów już na początku. Jak mówili „strażnicy”, „W więzieniu nie ma Boga, Bogami jesteśmy my.” Potem bili za wszystko, za źle posprzątane cele, a nawet za „złe spojrzenie”. Wyprowadzano również nocą więźniów do rozstrzału, a rano już nie było po nich śladu. Tego, co przeżył w tym więzieniu mój wujek, nie da się opisać w kilku zdaniach, to jest historia, którą trzeba kultywować na uroczystościach organizowanych przez teraźniejsze społeczeństwo. Trzeba przypominać tragiczne wydarzenia z lat wojennych i powojennych. Przecież „Kostek” spędził wiele lat w więzieniu dla nas, za czyny, które popełnił dla dobra przyszłych pokoleń, dla odzyskania polskości. „Pamiętajmy o tym, ile kosztowało Polaków prawo do swojego miejsca na Ziemi”. Moralną pomoc więźniom nieśli więźniowie – duchowni. Konspiracyjnie odprawiali w celach nabożeństwa, prowadzili rekolekcje, różaniec i inne. Kilkakrotnie księży – więźniów wspomagał z zewnątrz proboszcz z Wronek b. kapelan więzienny. Za pośrednictwem zaufanych funkcjonariuszy dostarczał komunikanty. Z kolei Jadwiga W. została odstawiona do więzienia „Fordon” w Bydgoszczy z wyrokiem skazującym na 10 lat pozbawienia wolności i 3 lata utraty praw. Były tam kobiety skazywane głównie za działalność polityczną i niepodległościową. Były przetrzymywane w nieludzkich warunkach. Poddawano je przesłuchaniom, czasem bardzo okrutnym i wyczerpującym. Więźniarki przeżywały upokorzenia związane z pobytem w więzieniu. Były bite, poniżane i obnażane. Życie w celi było źródłem wielu problemów, poniewierane, niedożywione, wystawiane na zimno. Kobiety spały blisko siebie, jadły razem, myły się, często pomagały sobie przy toalecie, a nawet przy obcinaniu paznokci. Cella miała jakby dwa znaczenia: była wroga „bo zimna, mała i pełna nieznanomych kobiet nie dawała wystarczającej ochrony i prywatności”, z niej też były wyprowadzane na przesłuchania i co niektóre już nie wracały. Ta sama cella była jednocześnie schronieniem, namiastką domu, w którym więźniarki znajdowały ochronę, odpoczynek i wytchnienie po przesłuchaniach. Warunki higieniczne były tragiczne. Rodzi się pytanie: „Co by było, gdyby ściany mogły mówić?” Samo pytanie daje nam odpowiedź jakiej byśmy się nie spodziewali, bowiem te kobiety w więzieniu były smakowitym kąskiem dla strażników, którzy je wykorzystywali i

niekiedy potem brutalnie zabijali na oczach innych. Jadwiga moja ciocia była tak katowana przez śledczych, że modliła się każdego dnia, by rano już się nie obudzić. Bito ją drągiem zakończonym drutem, przez nos wlewano jej wodę, a wszystko po to, żeby wyciągnąć informacje, nazwiska osób, z którymi działała w AK. Poddawana była też torturom psychicznym - jak wynika z jej relacji. Śledczy w czasie przesłuchania, rzucając zakrwawiony mundur jednej z jej koleżanek z oddziału, zagroził, że ją w niego ubierze i będzie obwoził po terenie, by wydawała ludzi. Jednak honor ocaliła, przetrwała śledztwo nikogo nie wydając, była na tyle odważna i twarda, że nie dała się złamać. Takich ludzi potrzebujemy dzisiaj, żeby wiedzieli za co walczą. To był pogrom i szkoła przetrwania, którą musieli przejść nasi rodacy, a wszystko to czynili dla wolnej, niepodległej i suwerennej Polski – naszej kochanej Ojczyzny! Ta ziemia jest przesiąknięta krwią i łzami tysięcy ludzkich istot, kobiet, mężczyzn i dzieci. Ludzie byli rozstrzeliwani, konali z głodu i z wycieńczenia. To był trudny czas dla więźniów - poddawano ich brutalnym torturom i eksperymentom medycznym. Zapytana kiedyś Jadwiga o to, co chce przekazać przyszłym pokoleniom odpowiedziała: „Nie możemy dopuszczać do nienawiści. Nie może jeden naród uważać się za nadludzi. Wszyscy jesteśmy tacy sami. To nigdy nie powinno się powtórzyć.”

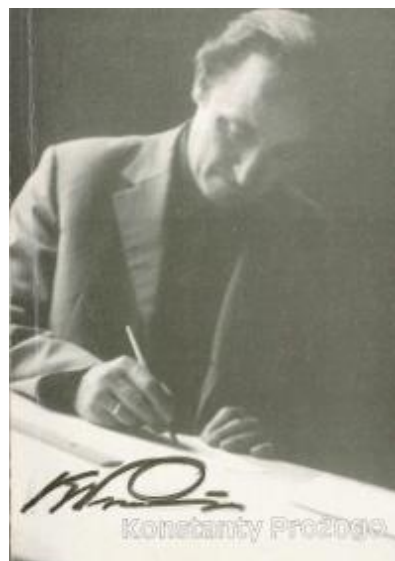
Po śmierci Stalina dzięki staraniom rodziny, głównie matka Jadwigi podjęła liczne działania, szła po trupach do celu, jeździła do więzienia, czekała na widzenia, czasami trzeba było iść na kolanach, żeby choć przez chwilę można było zobaczyć córkę. Dopiero w wyniku rewizji nadzwyczajnej wyrokiem Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego „Jadzinka” wyszła z więzienia na warunkowe zwolnienie w 1954 r. Natomiast jej narzeczony Konstanty P. został zwolniony 21 stycznia 1955r. i powrócił do Chełma, a jego ukochana do siebie do domu w Rozkoszówce. W niedługim czasie odbył się ich ślub, potem urodziła się im dwójka dzieci - syn i córka.



Ślub „Jadzinki” i „Kostka”

Losy moich bohaterów po latach

Dopiero po 38 latach 29 lipca 1992r. zrehabilitowano ich oboje, unieważniając wyrok skazujący, uznając iż działali na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego. W związku z tym Minister Obrony Narodowej przywrócił Konstantemu Prożogo stopień oficerski i odznaczenie, awansując go jednocześnie do rangi kapitana. Pracował i mieszkał w Chełmie wraz z żoną i dziećmi. Poświęcił temu miastu ponad 53 lata swego twórczego życia.



Był nie tylko znanym chełmskim regionalistą, ale także cenionym działaczem społecznym aktywnie pracującym w różnych organizacjach. Należy przy tym podkreślić, że wiele z tych organizacji Konstany współtworzył i organizował. Szczególnie ważna w działalności społecznej wujka była jego praca w Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym oraz w Stowarzyszeniu Miłośników Ziemi Chełmskiej. Był autorem publikacji, opracowań i artykułów poświęconych głównie historii Chełma i Ziemi Chełmskiej.

Lekcja dla mnie i dla innych młodych ludzi

Cieszę się z całego serca i jestem dumna, że miałam okazję poznać historię widzianą oczyma moich bliskich, a nie z książki czy opracowań historycznych. Nie ukrywam, że mimo młodego wieku dało mi to wiele do przemyślenia. Uważam, że warto jest poznawać historie osób, które doświadczyły ciężaru wojny. Potwierdzam, że to co usłyszałam jest najlepszą lekcją historii, którą zapamiętam na zawsze. Jest nadzieją, że przechowane przez straszny trud wojny narodowe wartości nie zostaną roztrwonione i zapomniane – jesteśmy im to winni. Warto pamiętać, że przez wieki żadna siła militarna nie była w stanie zgasić ducha polskości. Dzisiaj żyjemy w wymarzonych i wywalczonych przez pokolenia czasach pokoju. W Polsce wolnej i suwerennej nie musimy dzisiaj na szczęście przelewać krwi za Ojczyznę, ale należy wypełniać testament pokoleń i pracować dla rozwoju Polski i dobra jej obywateli. „Ludzie ludziom zgotowali ten los” - to motto pojawia się we wstępie „Medalionów” Zofii Nałkowskiej. Ma ono nam uświadomić, do jakiego okrucieństwa zdolny jest człowiek wobec drugiego człowieka. Obozy koncentracyjne, masowe ludobójstwa, pozbawienie godności ludzkiej. Zbrodnie były dziełem ludzkim. Relacje więźniów Jadwigi i Konstantego Prozogów prowadzą do ogólnych refleksji na temat ludzkiej natury, jej podatności na zło i wytrzymałości na cierpienie, wobec jakiego została postawiona. Motto to nie tylko komentarz do wojny, ale również ostrzeżenie przed możliwością powtórzenia się historii oraz świadectwo załamania się wszelkich zasad moralnych i etycznych, jakie nastąpiło w czasach II Wojny Światowej. Pieśni i wiersze patriotyczne stanowią piękną lekcję polskiej historii, potrafią nas wzruszyć do łez i obudzić jakąś szlachetną część naszej natury. Pieśni te są symbolem odwagi, męstwa i patriotyzmu, które przez pokolenia zagrzewały naród do walki. Takim symbolem są również moi bohaterowie, bez których nie byłoby tej relacji. Oni przetrwali wszystko, są dla mnie wzorem i jestem dumna, że byli namiastką mojej rodziny. Bohaterowie są wśród nas. Walczyli w obronie polskości, a ich miłość przetrwała długi czas pobytu za kratami więzienia. Nie poddawali się do końca, pragnęli żyć w wolnym kraju dla

siebie, dla rodziny, dla młodego pokolenia, żeby zdążyć z przekazaniem brutalnej historii. Ponieważ pochodzę z niewielkiej miejscowości Grabowiec koło Zamościa, chlubię się wydarzeniami, jakie odbywały się 22 września 2002 roku w Grabowcu, mnie nie było jeszcze na świecie, ale moi rodzice pamiętają i przekazali mi informacje o uroczystościach odsłonięcia i poświęcenia pomnika żołnierzy AK Rzeczypospolitej Grabowieckiej, a zarazem Zamojskiej. Wysiedlonych i pomordowanych w obozach koncentracyjnych oraz ofiar pacyfikacji Grabowca i okolic w latach 1939- 1945. W niedzielę 29 września 2002 roku przy pomniku Pomordowanych Żołnierzy Wojsk Polskich przez Armię Czerwoną w 1939 roku w Górze Grabowiec została odprawiona uroczysta Msza Św. upamiętniająca kolejną już rocznicę tych krwawych wydarzeń. W uroczystości tej włączona była młodzież Gimnazjum ZSP im. H. Sienkiewicza w Grabowcu. Z inicjatywy ks. dziekana Stanisława Budzyńskiego do tablicy znajdującej się w kościele parafialnym w Grabowcu upamiętniającej mord polskich żołnierzy przez Armię Czerwoną dodano napis „Krew Brata Twego Głośno Woła Ku Mnie Z Ziemi” (Rdz4.10). Wbrew wszelkim układom międzynarodowym, które chronią ludzi, oddział Armii Czerwonej rozstrzelał rannych i bezbronnych żołnierzy Wojska Polskiego, którzy przebywali w szpitalu polowym w Grabowcu. Uroczystości te przypomniały mieszkańcom Grabowca i okolic o tamtych bolesnych dniach, a jednocześnie bohaterskich czynach żołnierzy AK! To właśnie w Grabowcu 25 września 1939 roku miała miejsce straszliwa zbrodnia dokonana na 59 żołnierzach polskich, których w okrutny sposób wymordowali czerwonoarmiści. Zbrodnię tę określono „małym Katyniem”. Bolesne doświadczenie dla wszystkich mieszkańców gminy przyniosły kolejne lata okupacji niemieckiej, o których wspominałam już nieraz. Pamiętać należy również o żołnierzach walczących podczas kampanii wrześniowej nad Bzurą i w Borach Tucholskich, jako pierwsi z gminy Grabowiec znosili jarzmo niewoli jenieckiej na terenie Niemiec. Duże bohaterstwo i odwagę wykazali żołnierze Armii Krajowej z rejonu Grabowiec, którzy organizując akcje odwetowe na Niemcach i Ukraińcach uwolnili w lutym 1949 roku Grabowiec i najbliższą okolicę od wojsk niemieckich, tworząc tak zwaną Rzeczpospolitą Grabowiecką. Uczestnicy tych wydarzeń, jak również miejscowa społeczność w tym młodzież poprzez udział w tych wrześniowych uroczystościach oddali hołd wszystkim, którzy podczas II Wojny Światowej walczyli i zginęli za Ojczyznę. Tak! Historię i wolność krzyżami się mierzy, bo krzyż nie tylko oznacza śmierć, ale również mękę i niewyobrażalne cierpienie. A przed śmiertelnymi mękami i cierpieniem doznawali zupełnie niewinni ludzie, Polacy!

Wujek Konstanty jako, że był wielkim społecznikiem i bardzo udzielał się dla innych

zawsze nawoływał do oddawania szacunku wobec osób starszych, żeby czuli się potrzebni, a oni w zamian będą dzielić się swoimi umiejętnościami i doświadczeniami.

Poznawanie historii przez młodzież – wartość bezcenna!

Kontakt z młodzieżą oraz więź, jaka może się nawiązać między nimi jest ważnym elementem ich życia i wzmacnia poczucie własnej wartości. W wyniku tego „Kostek” zachęcał do wolontariatu młodzieży i dzieci wobec seniorów. Celem tego miało być łączenie i zbliżanie pokoleń poprzez zaangażowanie społeczne seniorów. Taka współpraca międzypokoleniowa polegałaby na wspólnym uczestnictwie w różnych warsztatach i szkoleniach. To byłoby spotkanie dwóch odmiennych światów, kultur i pokoleń. Słyszysz się, że dzisiejsza młodzież pozbawiona jest ideałów, wzorców do naśladowania, jednak znajomość z kimś, kogo mogą podziwiać potrafi to zmienić. Starsi ludzie znają historię, a ich opowieści o tym, co widzieli i przez co musieli przejść są najlepszą lekcją. Młode pokolenie uczy się dzięki temu poszanowania tradycji i szacunku do bohaterów wojny. Starsi mają natomiast możliwość nauczenia się od dzieci i młodzieży posługiwania się np. telefonem komórkowym, pocztą elektroniczną. Młodzi mogą również zaoferować swoją pomoc w zrobieniu zakupów, napaleniu w piecu, sprzątnięciu, wyjściu na spacer, zagranie w gry i w wielu innych pracach. Dzięki temu można poznać przyszywaną babcinę czy dziadka, a ludziom starszym przyszywanego wnuczka. Ja osobiście mam babcinę, z którą lubię rozmawiać, słuchać jej życiowych mądrości i służyć jej pomocą. Dlatego zachęcam kolegów i koleżanki do włączenia się w pomaganie innym.

Wszelkie informacje i zdjęcia pochodzą z relacji i zbiorów dzieci i rodziny Konstantego i Jadwigi Prożogo.

Relację napisała Oliwia Barbara Adamczuk – uczennica klasy 3 „B” Gimnazjum Zespołu Szkół im. Henryka Sienkiewicza w Grabowcu.